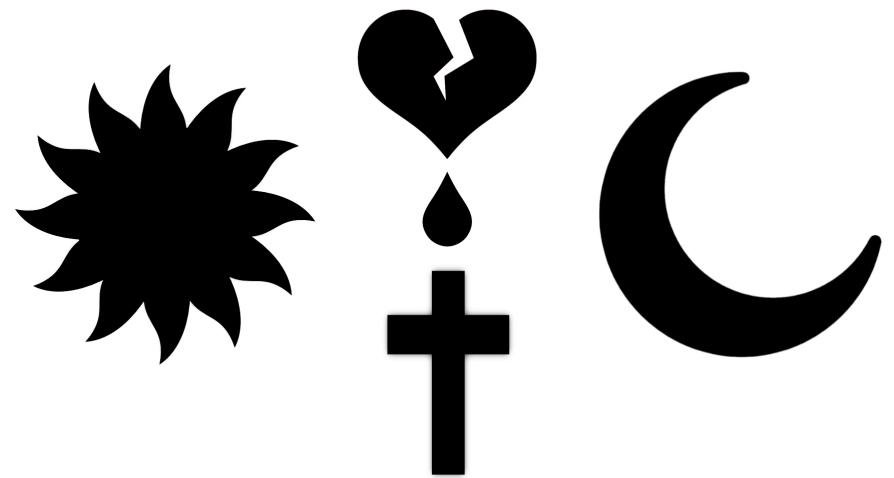


CZTERNAŚCIE
DNI MIŁOŚCI



TYDZIEŃ PIERWSZY

PONIEDZIAŁEK

Boże...
Rzekłeś.
Ratując mnie łaskawie z objęć otchłani,
żeś w prawdzie, pięknie i dobru.
Polecieś mi szukać Cię,
we wszystkim.
Szukałem ciałem,
w ogromie świata.
Nie znalazłem prawdy,
lecz skuteczność.
Nie znalazłem piękna,
lecz spektakularność.
Nie znalazłem dobra,
lecz wygodnictwo.
Szukałem duszą,
w Twoim Kościele.
Znalazłem to samo,
ku Twej rzekomej chwale.
Goryczy spojrzenie skierowałem ku Tobie,
by za dopustem Twym wejrzeć za kurtynę.
Stając naprzeciw Cibie,
wejrzałem w niewytłumaczalność Twojego spojrzenia.
By przez jego pryzmat,
przeszywać wszystko na wskroś.
Dryfując w głębinach,
spoglądając z wyżyny.
Znalazłem.
Rzeczywiste ucieleśnienie,
prawdy, piękna i dobra.
Znalazłem Ciebie w niej.
Ciebie w łubej mej.
I już wiem co chciałeś mi wyjawić,
zapewniając nieustannie,
że jesteś Miłością.

WTOREK

Boże...

Wybacz mi słabość.

Liczę na Twą łaskawość.

Przykazałeś nam miłowanie.

Pamiętam to Twoje kazanie.

Sercem, duszą, siłami wszelkimi.

Czyż słowa Twe nie były takimi?

Lecz czemu, o Panie?

Cóż złego się stanie?

Z ukochaną moją.

Piękną córą Twoją.

Gdy dam upust tej pożądliwości.

Cielesnemu okazywaniu czułości.

Czyż miłość również ciałem nie jest darem Twym?

Czy miłość może być czymkolwiek złym?

Dlaczego tak cudną ją stworzyłeś?

Dlaczego tak zgrabnie ją wymyśliłeś?

Ponoć pragniesz naszej wolności,

a więzisz mnie w klatce miłości.

To z Twojej winy myśl ma zniewolona.

To z Twojej winy ona taka zmysłowa.

Więc czemu mnie karcisz za słabość moją?

Czy bluźnię mówiąc, że ona mi ostoją?

Lekiem na wszelkie zmartwienie.

Bezkresne, słodkie pocieszenie.

Dlaczego jej włos tak cudnie splotyka?

Na te ramiona, które niestety zakrywa.

Dlaczego delikatność jej młodego ciała,

całą rozumność ze mnie wyssała?

I o to masz do mnie żal, mój dobry Boże?

Czy łaska Twa w tym nie pomoże?

Czy sprawiedliwym w Twych oczach jest me potępienie?

Czy takowe da jej wieczne zbawienie?

Czy taki jest Twój względem nas sąd?

Czuję już... piekielnej siarki swąd.

Więc skoro taka Twa wola, o Najsprawiedliwszy.
Jeśli taki nasz los jest Ci najmiłszy.
To dla jej duszy wiecznego zbawienia.
Z radością przyjmę te wszystkie cierpienia.
Lecz jeśli błędzę, a inna wola Twa.
Proszę pobłogosław nam i niech ta miłość trwa.

ŚRODA

Boże...
Fale się piętrzą,
wznoszą i opadają.
Lecą ku niebu,
nurkują w stronę dna.
Zderzają się z sobą,
ku umocnieniu i zagładzie.
Wiatr strąca z mej twarzy,
czułość pieszczot słonecznych.
A majestatyczne milczeniem chmury,
konkurują z hataśliwymi ptakami.
O dominację,
na płótnie błękitu nieba.
Z księgi w mej ręce,
rzecze do mnie Zaratustra.
Zacny to przeciwnik,
miły mej zgubnej ambicji.
Zapach kwitnącego jeziora,
przekwitłych wokół drzew.
Krzyczący z jachtów żeglarze,
szurający butami spacerowicze.
Arkadia, uczta epikurejska,
z przyjaciół z minionych wieków.
Lecz nie mleka mi brak.
Nie to psuje chwili smak.
Wybacz mi Panie niewdzięczność.
Łaskawie zerknij na mą nikczemność.
Lecz dusza ma rozdarta.
Myśl niechciana nęka uparta.
O tej co wczoraj płakała.
Stryka pod kocem cała.
Fermentując w sobie sercowe cierpienia.
Walczyła z myślami w krainie cienia.
Proszę Panie, abys ją uwolnił.
Łaską swoją pocieszył oraz umocnił.

Ześlij na nią swe błogosławieństwo.
A na mnie ofiarne, pokorne męczeństwo.
Bo jeśli sprawiedliwość zadziać się musi.
To niech mnie, nie ją, cierpienie to dusi.

CZWARTEK

Boże...

Daleś nam siebie,
choć żadne z nas nie prosiło.
Lecz znając głębiny serc naszych,
nie omieszkaleś ich rozjaśnić.
Uczuciem zrodzonym z przypadku,
nad którym pieczołowicie czuwałeś.
W swej chytrej czułości,
daleś nam szczęście.
Powiedz zatem dlaczego,
oboje od tego uiekamy.
Chce bym został,
a wciąż uieka.
Chcę ją widzieć,
a wciąż odwracam wzrok.
Co się stało z nami,
na przestrzeni tych lat.
Które żyliśmy bez siebie nawzajem,
w oczekiwaniu na tchnienie miłości.
Czy te wszystkie błędy nasze,
które wyrosły na glebie serc samotnych.
Zagubioną wolą prowadzone,
aż tak oddaliły nas od sensu istnienia?
Że teraz mrozi nas lęk okrutny,
na sam niewinny pomyślunek.
Iż miłym byłoby porzucenie siebie,
na rzecz ukochanej osoby...
i Ciebie.

PIĄTEK

Boże...

Jakże miło było żyć,
przez te parę pięknych dni.
Gdy jej głos i twarz,
rozsywały gwiazdy na niebie.
Gdy jej czułość i dobroć,
kończyły wszelkie serca bólaczki.
Gdy jej rozumność i pokora,
wprawiała w zawstydzenie.
Jakże miło było żyć,
przez te parę pięknych dni.
Czuć więcej,
więcej słyszeć,
więcej widzieć,
więcej pragnąć,
więcej myśleć,
bardziej się starać.
Proszę utrzymaj mnie na drodze,
do stawania się lepszym.
I choć już nie mam nadziei,
że to dla niej będzie lepiej z tym.
To chcę być lepszym niż byłem,
nawet jako nieżywa zabawka rozpaczy.

SOBOTA

Boże...
Spomiędzy liści,
tańczących na gałęzi.
Szarpanych wiatrem,
śpiewających szumem.
Dostrzegam promienie,
pocieszające i oślepiające zarazem.
Biegnę ku nim w myśli puszczy.
Potykam się,
o korzenie wspomnień.
Karcą mnie,
gałęzie wyrzutów sumienia.
Pajęczyny przyzwyczajęń,
zamykają me oczy.
Doły lęków,
nakłaniają do rezygnacji.
Tracę orientację w terenie.
Wszystko wokół się chwieje.
Zerkam ku słońcu w górę.
Widząc złowrogą chmurę.
Każdą myśl mą imię to przeszywa.
Czy do szatan się naigrywa?
Czy to od Ciebie wezwanie?
Kolejne mądre przykazanie.
Dlaczego jej imię mnie prześladowie?
Wieści mi zgubę, czy drogę wskazuje?
Jak mam wyjść na spokoju polanę?
Czy to w ogóle będzie mi dane?

NIEDZIELA

Boże...

Okropny to ciężar,

co mnie wciska w łóżo.

Świat przed mym okiem otworem,

w całej swej hojności.

Tajemniczość ruin antycznych,

majestat rzeźb natury.

Technologiczny surrealizm,

prostota dziewiczej dziczy.

Bez żadnego wysiłku,

mogę pić nuty wszelakie.

Matematyczne dzieła klasyków,

abstrakcyjne twory podziemia.

Wykwintność opery,

energiczność rapu.

Głosy kultowe,

i te dopiero odkrywane.

Wszystko na ręki wyciągnięcie,

ale to wszystko - to nic.

Gdzie me miejsce,

skoro nie w domu?

Do którego tak rychło,

wracałem przed laty.

Dlaczego ma dusza truchleje,

gdy dotychczas puchła z zachwyty?

Gdzie ten urok przepadł?

Gdzie piękno jezior i lasów?

Gdzie te uliczki magiczne?

Gdzie wzniosłe zachody słońca?

Gdzie te melodie ptasie?

Gdzie symfonia nabrzeżnych fal?

Gdzie to wszystko przepadło?

Dlaczego chcę ruszyć tam?

Tam gdzie jej oblicze przepiękne.

Tam gdzie jej głos przecudny.

Tam gdzie jej dotyk kojący.
Tam gdzie jej zapach ożywczy.
Dlaczego chcę być tam,
gdzie akurat być nie mogę?
Dlaczego jestem tu sam,
i czuję tę nieznośną trwogę?
Lecz proszę Cię Panie o jedno,
to będzie modlitwy tej sedno.
Pobłogosław jej po krańce duszy.
Niech nie czuje w sercu tej słonej suszy.
Czuwaj nad nią dniem i nocą.
Bądź jej w wyzwaniach pomocą.
Przykul ją mocno do serca swego,
i wprowadź na końcu do domu Twego.

TYDZIEŃ DRUGI

PONIEDZIAŁEK

Okiem duszy widzę,
jak...
Falujące powietrze,
obwieszcza upał.
Lecz nie on jest przyczyną,
mojego osłabienia.
Wyczekiwanie na upragnione,
ściska mnie swoim ogromem.
Radości śpiew,
tłamsi ucisk lęku.
Chcę uciec,
chcę zostać.
Przerażenie z euforią,
wirują w szalonym tańcu.
Świst z komina wieści zwieńczenie,
wielotygodniowego oczekiwania.
Pociąg nadjeżdża,
a w nim Pani.
Najmilsza memu sercu istota.
Nie mogę uciec,
nie ma odwrotu.
Ślina niczym piasek,
zatyka me gardło.
Wrzask hamulców,
zagłusza ostatnie tchnienie rozsądku.
Uciekam.
Lecz nie ciałem,
a jaźnią całą.
Zniekształcone obrazy są jakby zza mgły,
jak w niewyraźnym sennym widziadłe.
Dźwięki dochodzą jakby znad tafli wody,
w której tonę, nie mogąc złapać oddechu.
Syk węzowy rozsuwa skrzydła drzwi,
spomiędzy których Pani wychodzi.
Wszelkie anomalie,

mej zbląkanej percepcji,
pierzchają rychto,
by cała ma uwaga,
skupiła się jeno na Pani osobie.

WTOREK

Okiem duszy widzę,
jak...
Zgrabna, kształtna noga,
wlewa się w gęstwinę letniego powietrza.
Delikatnie stawiając obcas na betonie,
kruszy go swym wdziękiem.
Trzask opadającego kurzu,
budzi mnie z otępienia.
Kajam się w duszy,
widząc potyczkę z walizką.
Drobnej Pani osoby,
której nie pomagam.
Palony wstydem,
podbiegam na ratunek.
Lecz kto inny został obdarzony,
zaszczytem i życzliwym uśmiechem.
Mikrokosmos mój,
rozpychany dudnieniem serca.
Przekracza me ciało,
by objąć Panią w swe mistyczne sidła.
Wielogodzinne sekundy,
spędzam na duszy karmieniu.
Udo Afrodyty skrywa się,
pod kwiecistą sukienką.
Która powabnie zdoła,
wielkość Pani serca.
Szyja zgrabna,
co wyrasta spomiędzy ramion.
Swą delikatnością,
doprawia radosną opaleniznę.
Figlarne pieprzyki,
uśmiechają się do mnie.
Tak samo jak słodkie usta,
spod których mnie mamia.
Zgrabny nosek,

w towarzystwie gładkich policzków,
uroczych uszu,
i gładkiego, wysokiego czoła.
Zdobne ramą włosów,
co swymi lśniącymi falami,
łechtają moje zmysły.
Przygotowują mnie do wejrzenia,
wprost w źrenice tych oczu anielskich,
w których powabność myśli,
oraz szlachetność wrażliwości,
wsysają mą duszę,
wgłęb duchowej ekstazy.
Chcę rzucić się na Panią,
unieść w objęciach.
Kręcąc się w koło,
karmić się Pani śmiechem.
Lecz zdobywam się tylko,
na pocałunek w dłoń.
Dawnym, wymartym zwyczajem.
Przejmuję walizkę,
prowadząc Panią w głąb.
Nadjeziornego miasta,
zalanego czerwienią zachodzącego słońca.
Chcę Panią objąć,
z zawieszoną ręką,
tulić Panią do siebie,
dzierżąc Pani dłoń.
Lecz zdobywam się tylko,
na głaskanie swej duszy.
Wsluchany w Pani opowieść,
wypowiadaną głosem z niebios.
Nie mogę oderwać od Pani wzroku.
A Pani obcasy,
grają tragiczną melodię.
Śpiewając przekornie,
życie, śmierć, życie, śmierć.

ŚRODA

Okiem duszy widzę,
jak...
Stado żółtych węży,
wijących się w talerzu,
oblewam pomidorową magmą.
Zza ściany słyszę słodkie nuty,
przecinane nieśmiałyymi kroplami.
Opadającymi na Pani zgrzane ciało,
przygrywającymi do Pani śpiewu.
Dekorując danie bazylią,
rozglądam się po mieszkaniu.
Niewielka dziupla,
na poddaszu kamienicy.
Spowita w półmroku,
gasnących świec i starych lamp.
Elementy więźby,
czyhające na głowy zamyślane.
Dźwigają stery starych ksiąg,
na które brakuje już miejsca.
Zapach antykwariatu i jałowcowych świec,
miesza się z tymi kuchennymi.
Liczne obrazy zerkają ze ścian,
jak z otępieniem na twarzy,
spoglądam w Pani stronę.
Bez makijażu,
z mokrymi włosami,
odziana swobodnie.
W pełni niedoskonałości.
W swej najlepszej wersji.
Delikatne upomnienie,
ubrane w głos słodki,
i ton nieco wyniosły.
Rozbudza mnie z letargu,
porzucającego w niwecz,
piękno odległych mgławic.

Gaworząc podczas kolacji,
podjadając oliwki,
popijając wino,
nie mogę wyjść z osłupienia.
Szyk i swoboda,
słów przecinających stołu blat,
myśl każdą wyprzedzają.
Nie ma zaskoczenia,
poza tego,
wynikającego z potwierdzenia.
Że serca zanim słowa dostarczą,
na krańce języków przez mózgi.
Pierw łądzą w sercach naszych,
jak byśmy mówili bez ust.
Kropelka zbuntowanego sosu,
błogo łąduje na Pani dekolcie.
Porozumiewawcze spojrzenie,
lekkie zawstydzenie,
myśli zrozumienie.
Konsternacji chwila,
żądza płomiennie miła.
I śmiech radosny,
niczym nadejście wiosny.
Miasto gwiazd,
rozbrzmiewa w salonie.
Delikatnie ściskam Pani dłoń,
w tańcu powolnym i zmysłowym.
Choć niezbyt pomysłowym,
gdyż rozumu wszelka siła.
Ku niebu hen się wzbiła.
By serce doszło do głosu.
Zadrwiło czule z naszego losu.
Siedzę w starym fotelu,
zatapiam się w pięknie poezji.
Leżąc na kanapie,
nieśmiało kręcąc loki,
nerwowo machając stopami.

Spomiędzy wstydliwego uśmiechu,
raczy mnie Pani swoją twórczością.
Wgniatając się w miękkość materaca,
spoczywającego leniwie na podłodze.
Obserwujemy duchy Inisherin.
Jawiące się na skośnym suficie,
za sprawą klekoczącego rzutnika.
Spoglądam w Pani stronę,
a Pani śpi.
Odlatuje w krainę snów i zapomnienia,
po ciężkim dniu podróży.
Uroczy uśmiech wygina,
słodkie usta zdobiące,
twarz piękną i oblaną,
wpadającym przez okno w dachu,
srebrnym blaskiem księżyca.
Pozawalam sobie palca ruchem,
zsunąć z czoła lśniący włos.
Mając głęboką nadzieję,
iż nie był to gwałt na Pani woli.
Leżąc obok i obserwując,
czuвам nad Pani snem,
niedowierzając w szczęście,
które mnie odwiedziło.

CZWARTEK

Okiem duszy widzę,
jak...
Jedziemy autem,
gruntowymi drogami.
Otulani puszczy gęstwina,
straszeni złowieszczymi bagnami.
Obserwujemy otoczenie,
w błogiej ciszy obecności.
Widok rogatego króla okolicy,
wzbudza w Pani lęk zachwytu.
Pani udo cudownie gładkie,
nęci mą dłoń na skrzyni biegów.
Mały, niestabilny pomost,
trzeszczący nad wodami jeziora.
Przemierzamy radośnie,
by wejść do wynajętej łodzi.
Zachodzące słońce,
farbuje kojącą flautę.
A hordy małych owadów,
buzują otoczone mgiełką,
zdobiącą śpiącą taflę jeziora.
Liczne ptactwo orkiestruje,
wtórując Pani uroczemu śmiechowi.
Dudniące uderzenia wiosel,
nadają symfonii tej rytmu.
Dopływamy do małej wysepki.
Kawałek ładu na środku jeziora,
w oddalonej od cywilizacji puszczy.
Cumując tódź o szczątki pnia,
wzdrygam się na widok Pani.
Starającej się wskoczyć na brzeg,
ryzykując zamoczenie,
tej prześlicznej stópki,
w chłodnych wodach nieprzyjemności.
Pragnę chwycić Panią pod uda,

objąć ręką plecy.
By delikatnie i stanowczo,
przenieść Panią na zieloną trawę.
Niemniej jednak,
patrzę,
jak Pani świetnie sobie daje radę.
Sama,
bez mojej pomocy.
Tańczące płomienie ogniska,
oświetlają Pani zamyślane oblicze.
Gra cieni i światła,
wzbogaca majestat Pani piękna.
Posilając się prostą strawą,
rozważamy nieprzyziemne sprawy.
Myśl nasza,
uszyta ze zgodnych słów.
Wdziera się w ogrom transcendencji,
analitycznie rozdrabnia codzienność.
Nurkuje w odmętach lęków,
wznosi się powiewami nadziei.
Żar się tli,
a nieboskłon nad naszymi głowami,
zachęca do szaleństwa.
Powoli wchodząc w toń śpiącego jeziora,
nasłuchujemy niebezpiecznych dźwięków.
Dryfując na plecach,
spoglądamy w gwiazdy.
W wymownym milczeniu,
sięgamy po nie ręką wyobraźni.
Nagle dłoń Pani styka się z moją,
prowadzona dyskretnymi falami opatrności.
Nasze splecione palce,
wyniszczają pozostałości rozsądku.
Aksamitne Pani przedramiona,
łądują na mej szyi.
Ponętne uda,
obejmują me biodra.

Konstelacje miłości w Pani spojrzeniu,
zamykają moje powieki.
By w ciemności i milczeniu,
przytulić się czołami.
Gładząc Pani plecy,
tuląc mocno do siebie.
Orientuję się zląkniony,
że jest nieprzyzwoicie miło.

PIĄTEK

Okiem duszy widzę,
jak...
Stoimy na peronie,
w milczeniu tupiąc niecierpliwie.
Nad naszymi głowami,
wzlatują dwie rybitwy.
Znak od Boga?
Chore urojenie?
Dzisiejsze milczenie jest inne,
nie ma w nim pewności.
Swoboda umknęła,
rozrasta się bluszcz niezręczności.
Przeraża mnie myśl,
że Pani czuje to samo.
Wmawiam sobie,
że ostatnie dni to wymysły.
Zwodnicze iluzje,
pomyłonego umysłu.
Przecież taka osoba jak Pani,
nie mogła zasłużyć sobie,
na życiową karę w mojej osobie.
Chcę wierzyć,
że na horyzoncie czasu.
W blasku świtającej przyszłości,
spotka Pani tego, który będzie godzien.
Tego co będzie dzielniejszy,
zaradniejszy,
mądrzejszy,
inteligentniejszy,
dojrzały,
wrażliwszy,
przystojniejszy,
zabawniejszy,
bardziej ułożony,
bardziej obyty,

bardziej wykształcony,
bardziej świadomy...
zdrowy na umyśle.
Tego co spełni Pani marzenia,
o rodzinie,
o wielkim domu,
o bezpieczeństwie finansowym,
o szalonych podróżach,
o przestrzeni na czytanie i pisanie,
o kudłatym psie.
Tego co będzie dla Pani wsparciem,
w drodze do sukcesu,
w przyjaźni z bliskimi,
w trudnościach codzienności.
Tego co da Pani,
spokojny sen,
poczucie bezpieczeństwa,
radości,
spokoju,
spełnienia,
pewności.
Tego co będzie lepszym,
przyjacielem,
mężem,
ojcem,
kochankiem.
Wierzę, że on jest.
Że czeka na Panią,
w sieci nieprzeniknionych przypadków.
Wierzę, że Pani,
w swej mądrości, wrażliwości,
dzielności i rozumności.
Odnajdzie swoje szczęście,
bez mojej pomocy.
Niežnośny pisk w uszach,
wytrąca mnie z modlitwy.
Pociąg stoi i czeka,

ja stoję i patrzę.
Uśmiech zmieszania,
nieumiejętnie tłumiony.
Ukazując się na Pani cudnej twarzy,
wrywa mój kręgosłup męstwa.
Spuszczam wzrok,
kryjąc swe spocone oczy.
W milczeniu puszczam Pani spojrzenie,
wycytujące z Pani smutnych oczu zapytanie.
Drzwi zamykają się za Panią,
a wraz z nimi,
zamyka się okres mej szczęśliwości.
Cudownie było,
przez te parę,
krótkich chwil,
nie czuć się samotnie.
Pociąg rusza,
a ja rozpaczliwie szukam Pani,
bombardując postronnych ludzi,
swym gniewnym spojrzeniem.
Nie ma Pani,
nie mogę Pani znaleźć.
W tym zwariowanym tłumie,
który jest tłem dla sensu mego życia.
Zatławionymi oczami,
patrzę na odjeżdżającą nadzieję.
Wrywam ze swego serca,
szwy grawerowane Pani imieniem.
Spoglądając na deszczowe chmury,
czuję jak powoli uchodzi ze mnie życie.
Ostatnie resztki szczęścia,
wyciekają ze mnie niczym żywica.
Zakładam maskę,
aby z promieniującym uśmiechem,
nie patrzeć ludziom w oczy.

SOBOTA

Okiem duszy widzę,
jak...
Pałaca chmura,
wyżera mi płuca,
A ból ciała,
boli również duszę.
Ona leży w pokoju,
za obojętności ścianą.
Obrzydza mnie,
wulgarność jej ciała,
wulgarność jej odziania,
wulgarność jej myśli,
wulgarność jej spojrzenia.
Nie chciała abym ją szanował,
więc nie szanowałem.
Brutalność,
to nas łączyło.
Brutalność względem siebie nawzajem,
i względem samych siebie.
W erotycznym szale pogardy,
zabijaliśmy resztki swojego człowieczeństwa.
Bo nienawidzimy siebie nawzajem,
i samych siebie z osobna.
Dążąc ku zagładzie,
upajamy się autodestrukcją.
Która przychodzi łatwiej,
bez należytego szacunku.
Rozglądam się po mieszkaniu,
przesuwając stopą stertę listów,
nigdy nierozpieczętowanych.
Cuchnąca mgła,
co szczypie w oczy.
Otula porozrzucane książki,
nigdy niedoczytane.
Zakurzone hantle,

mającą o utopii zdrowia.
A powalony krucyfiks,
rodzi wzgardliwe wspomnienia.
Nienawidzę tego miejsca,
nienawidzę siebie.
Ona wychodzi z pokoju,
patrzac na mnie martwym wzrokiem.
Rozdarte kabaretki,
i zbyt mały top.
Odcinają mój wzrok,
od jej brudnych włosów.
Każe jej wyjść,
bez krzty wyjaśnień.
Wykonuje rozkaz,
spoglądając na mnie z pogardą.
Nie szkoda mi jej,
jesteśmy tacy sami.
Nieumarli.
Zbyt słabi by odejść,
zbyt rozdarci by żyć.
Pchani nadzieją,
nieszczęśliwego wypadku.
Na wieczność ucinającego,
zbyt długą passę cierpienia.
Nienawidzę siebie,
za zdradę tego uczucia.
Co trzyma mnie przy życiu,
co ukazało mi jego sens.
Chwytałam złamany ołówek,
piszę dwa słowa na gazecie.
Nic.
Nic nie gra w mej duszy,
poza niewysłowionym żalem.
Z którego pnie się nienawiść,
podsycana niezdolnym pytaniem.
Dlaczego?
Dlaczego pozwoliłem Ci odejść?

Dlaczego o Ciebie nie walczyłem?
Dlaczego od lat Cię okłamuję?
Dlaczego wciąż to do Ciebie czuję?
Melodia opadającego śniegu,
przytula mnie zgubą iluzją.
Gdy ja wciąż jedynie pragnę,
tulić Cię do swej oszalałej piersi.
Kolejny papieros,
telefon w ręku.
Niebieskie światło,
rani mnie Twoimi zdjęciami.
Upajam się tą męką,
łudząc się,
że mnie zabije.
Dzwonisz,
utwierdzając mnie,
w złośliwości losu.
Nie mogę odebrać,
za dużo wciąż czuję.
By beznamietnie Ci kłamać,
że u mnie wszystko w porządku.
By ponownie zwać winę,
na nieprzychylność kalendarza.
Uniemożliwiającą nam kolejne spotkanie.
Wyciągam pęknięty kubek,
spomiędzy sterty naczyń.
Wlewam niechlujnie,
dawkę bezbarwnej trucizny.
Żeby nie czuć,
żeby wyzionąć ducha.
Potrzebuję przemocy,
żeby stłamsić serce.
Zaś myśl ohydna,
że na tych obskurnych ulicach.
Spotkam szczęśliwą rodzinę,
odciąga mnie od wyjścia.
Uderzam pięścią,

w rozbite zwierciadło teleskopu.
Nic już nie ma dla mnie wartości,
poza udręką wynikłą z miłości.
Wyciągam szklane sztylety,
z mej brudnej dłoni.
Boli.
W końcu boli.
Znowu dzwonisz.
Błagam Cię krzykiem,
o jeszcze jedną noc upodlenia.
Bym był w stanie,
z martwym sercem.
Nałożyć maskę,
którą dla Ciebie przygotowałem.
Radosnego wolnoducha,
rwanego wichrem spontaniczności.
Realizującego wielkie cele,
realizującego siebie.
Nienawidzę się za każde kłamstwo,
wypowiedziane w Twoją stronę.
Nie jestem zaś w stanie,
wyjawić Ci prawdy.
Strach przez sprawieniem Ci przykrości,
wykręca mi wszystkie stawy i kości.
Tego samego dnia,
gdy zadałaś mi pytanie oczyma.
Chciałem się zabić,
lecz miłość zwyciężyła.
Nie mogę Ci tego zrobić,
za to do mi dałaś.
Nie mogę Ci tego zrobić,
za to że mnie pokochałaś.
Pomimo nędzy mej postaci,
którą przeszzyłaś swą bystrością.
Dałaś mi miłość,
styczność z boskością.
Nienawidzę się za to,

że to zmarnowałem.
Nienawidzę się za to,
że się tak bałem.
W myśli mej pogubionej,
proszę Cię o wybaczenie.
Ty nie ustępujesz,
dzwonisz znów.
Rzucam telefon w kąt.
Ze łzami w oczach,
czytam ponownie zaproszenie.
Zaproszenie na Twój ślub.
Zaproszenie na które,
nigdy nie odpowiem.
Pozostając na wieczność,
w piekle potamanych serc.

NIEDZIELA

Okiem duszy widzę,
jak...
Siedzę,
brudny, cuchnący.
Niczym szczur,
zamknięty w klatce.
Kraty konfesjonatu,
zasłaniają mi pełnię widzenia.
Lecz widzę,
udekorowaną świątynię.
Elegancko ubranych gości,
światłego kapłana.
Widzę jego.
Czekającego na Ciebie,
u stóp Boga,
przy jego ołtarzu.
Nie wiem co tu robię,
nie wiem co mam zrobić.
Nie wiem co czuję,
nie wiem nic.
Nie wiem nawet,
czy żyję,
czy to tylko chory sen.
Przy salwie organów,
przy wrzaskach chóru.
Wchodzisz,
prowadzona przez ojca.
Zasłużenie w centrum uwagi,
bez szczypty skandalu.
Emanujesz pięknem,
i szlachetną dobrocią.
Szukam w kieszeni zapatek,
a w konfesjonale karnistra.

Nie znajduję.
Serca bolesne uderzenie,
wskrzesza mą pobitą wrażliwość.
Odnajduję prawdę,
zakopywaną skrzętnie,
ogromem nieprawości moich.
Liczę że zmienisz zdanie,
że będziesz mnie szukać,
a ujrzawszy mnie w kościelnej ławie,
rzucisz się w me drgające ramiona.
Całując mnie czule wyszepcesz,
że jesteś moja.
Zamykam oczy,
nie chcę tego widzieć.
Zatykam uszy,
nie chcę tego słyszeć.
Lecz głos ten ukochany,
uderza bez litości w uszu mych membrany.
Słyszę tylko go,
wyczekując odrobiny niepewności.
Podczas wypowiedzania,
słów małżeńskiej przysięgi.
Niepewności,
która podlatały ziarno nadziei,
co kryło się w mym sercu,
od naszego rozstania.
Że jednak to mnie wybierasz,
że jednak to mnie kochasz najbardziej.
Drgawki miotają mną szalenie,
trzeszczy krzesło pode mną.
A Twoje słowa,
płyną pewnie łodzią niezachwianej ufności,
po rzece najpiękniejszych zdań,
jakie wymyśliła ludzka mowa.

Wiem, że jego paskudne usta,
bezczeszczą sobą Twe wargi.
Niweczą sakralność tego,
czego nigdy nie ośmieliłem się posiąść.
Gęste potoki oblewają me policzki,
słoność nosa zalewa me usta,
spomiędzy których,
leją się lepkie strugi bezradności.
Chcę krzyczeć,
porwać Cię jak najdalej.
Na krańce pierzchających granic wszechświata.
By mieć Cię tylko dla siebie.
Cały mój świat.
Ale gryzę swą pięść,
brzydząc się smakiem cuchnącej krwi.
Otwieram oczy,
rozmyte łzami spojrzenie,
wciskam między przekłute kraty.
Przez ułamek sekundy,
dosięga mnie boskość Twego oblicza.
Ta radość, spełnienie,
ta euforyczna błogość.
Bijące z tej przepięknej twarzy,
zabijają mnie do cna.
W ten czuję,
czuję to co wtedy.
Gdy spokojnie dryfowałaś,
w moich cherlawych objęciach.
Czuję radość, spokój,
zaufanie i czułość.
Czuję miłość.
Ona rozjaśnia mą duszę,
zaczynam pojmować,
że to wszystko miało sens.

Bóg wystuchał próśb moich,
spełniając Twoje marzenia.
Bo z nim,
bo z nim będziesz szczęśliwsza.
Szczęście to paraliżujące,
pcha mnie w objęcia niechcianego snu.
Powracając z głębi sennych fresków,
spoczywam przy tym samym ołtarzu.
Klęczę przed Ukrzyżowanym,
przyglądającym mi się ze smutkiem.
Za sprawą cudu,
dzierżę w ręku notes.
Własnoręcznie pisany przed laty,
modlitewnik.
Pchany Bożym Miłosierdziem,
odmawiam koronkę.
Koronkę do Najświętszego Serca Jezusa.
Nie robię tego sam,
prowadzi mnie Duch,
a ja mu tylko daję przyzwolenie.
Lecz z każdym wypowiedzianym słowem,
z każdą myślą co zakorzenia się w nim.
Odzyskuję wolę,
a wraz z nią.
Chęć modlitwy.
Modlę się o to co najważniejsze.
Aby dobry Bóg nad Panią czuwał,
aby dobry Bóg Panią prowadził,
aby dobry Bóg,
pobłogosławił Pani i Pani rodzinie.
Wychodzę na zewnątrz,
w granatową toń,
pochmurnego, nocnego nieba.
Kojące krople,
obmywają mą twarz.

Jest dobrze,
po staremu,
a zarazem,
zupełnie inaczej.

I chyba wciąż wierzę.
W engelsowską miłość,
niezdeteminowaną czynnikami ekonomicznymi.